№ 75. Warszawa, dnia 5 (17) Września 1872 roku. Tom II. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40. kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

O PROSZONYM CHLEBIE.

POWIEŚĆ

przez

WALERYĘ MARRENÉ

(Morzkowską).

III.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 74).

Noc była jasna i mroźna; przecież psy ujadały gdzie niegdzie wietrząc niespokojnie, jak gdyby widma wywołane wyobraźnią rzucały się widomie pośród chat uśpionych. Stachowi zdało się, że w powietrzu wisiała jakaś groza tajemna, że twarz księżyca lśniła się i mroczyła, że drzewa kołysane wiatrem szeptały jakieś niezrozumiałe wyrazy, otrząsając z gałęzi lodowe brylanty. Jak gdyby niepokoje ludzkie mogły oddziałać na martwe przedmioty i poruszyć ich do współczucia!

W dzieciństwie cywilizacyi, człowiek sądzi się wszechwładnym panem stworzenia, nie siłą intelligencyi, ale z wyższéj łaski; przyroda cała uznaje jego potęgę, raduje się jego szczęściem i boleje cierpieniem. Cios, co ma w niego uderzyć, porusza niebo i ziemię: komety i różne zjawiska przepowiadają mające się stać nieszczęścia; ziemia drży w posadach przed spełniającemi się czynami; widma błąkają się przy bladém świetle nowego miesiąca, zapowiadając to co ma nastąpić; bezmowne zwierzęta nawet widzą je i przeczuwają przyszłość. Człowiek wolą lub modlitwą swoją, może zapanować nad zjawiskami przyrody, zatrzymać w chmurze pioruny i grad złowrogi, rozpędzić obłoki lub dostać z nich pożądaną kroplę deszczu. Niezerwany jeszcze łańcuch rozciąga się pomiędzy jestestwami ziemi, czy one oddychają swobodnie lub kwitną korzeniem wrosłe w łono wspólnéj matki, czy rozumieją fakta, których są działaczami, lub też biernie przyjmują los spełniony.

Stach był jeszcze dzieckiem, tego pierwotnego momentu cywilizacyi; dla tego też cały zimowy krajobraz zdawał się w oczach jego ożywiać niepokojem, smutkiem, grozą, odbijać wszystkie uczucia, które nim miotały. Drzewa szeptały mu pieśń pożegnalną; wiatr mroźny jęczał wśród nich, księżyc litował się nawet. Tak przeszła noc, aż wreszcie biała smuga zarysowała się na wschodzie widnokręgu. On spostrzegł ją, pobladł, i poruszył się z miejsca cały drżący od chłodu i wzruszenia.

We wsi było cicho jeszcze, tak cicho, tak głucho, jakby tam wszyscy wymarli. Chłopiec przesunął ręką po czole, odwracając mary, które na pociechę lub udręczenie towarzyszyły mu wszędzie, i wolnym krokiem zbliżał się do swojéj chaty.

Wreszcie gdzie niegdzie zapłonęły ogniska, pomału ruch się zaczął, skrzypiały drzwi jedne po drugich, i słychać było w ciszy poranku kroki ludzkie szeleszczące po śniegu, bydło ryczało w obórkach, dopominając się pokarmu, domowe ptastwo gdakało i świergotało. Z każdą chwilą zwiększało się niepewne z razu dzienne światło, aż śnieg na szczytach chat i drzew wierzchołkach zarumienił się i zaiskrzył od ogniów słonecznych.

Stach westchnął mimowolnie z głębi serca; zobaczył, że jego matka rozżarzała ogień, i jakby zbierając odwagę, wszedł do izby.

Dąbkowa ze spokojną rezygnacyą układała w kobiałkę to wszystko co przygotowała dla syna. Przy ogniu na kominie kipiało śniadanie, chciała uraczyć go po raz ostatni.

Pożegnanie matki z synem było krótkie, gorycz téj chwili zdawała się wyczerpaną.

Spisowi zbierali się u sołtysa; trzeba było pośpieszać. Stach raz jeszcze rzucił okiem w koło na domowe sprzęty, raz jeszcze pokłonił się matce i wyszedł. Ani ona, ani syn nie wymówili próżnych słów nadziei, któréj nie mieli w sercu, lękali się nią złudzić i stracić odwagę, a potrzebowali jéj tak bardzo.

W Malińcach była gmina; wieś prawie cała wyległa zobaczyć odchodzących, którzy zbierali się z okolicy, w powietrzu rozlegały się pożegnania, westchnienia, kiedy niekiedy przerywane śmiechem: byli tacy co nie kochając odchodzili ze wsi niepłakani, niepłaczący sami.

Chociaż sołtys zapowiadał wyjście przed świtem, słońce już dobrze wzbiło się na niebo, kiedy ruszyli ze wsi. Karczma była pełna ludzi jak w święto, jedni pili do drugich pożegnalne kieliszki, chcąc zapić troskę i zmartwienie. Byli tam i Plaskotowie z Maryśką i zięciem, była i Wickowa kręcąca się gdzie mogła dostać poczęstunek; tylko Hanka nie śmiejąc narazić się na gadanie ludzkie nie przyszła pożegnać Stacha. Cóż mogłaby powiedzieć mu tutaj? Wczoraj serca ich złączyły się w ostatecznym hymnie miłości i żalu. Jednak oczy pragnęły zobaczyć się jeszcze, więc tam po za płotami wsi na górce pod krzyżem stała dziewczyna, chcąc przesłać mu ostatnie skinienie ręki i ostatnie spojrzenie.

Teraz on siedział w karczmie na ławie, z głową spuszczoną, nie bacząc na tysiączne sceny

odgrywające się przy nim. Wickowa od dnia, w którym odrzucił jéj swaty, nie zamieniła z nim słowa; spotykała go wprawdzie kilka razy na drodze lub przy robocie, ale ani on, ani ona nie mieli ochoty wszczynać rozmowy. Teraz jednak zbliżyła się z udaną litością.

— A widzisz, zawołała złośliwie: nie chciałeś posłuchać dobréj rady, odrzuciłeś ładną, posażną dziewczynę; już ja przepowiedziałam ci dawno, że się ożenisz z karabinem.

Zaśmiała się głośno wyrzekłszy te słowa, i spojrzała tryumfująco po obecnych, jakby pysznić się chciała swoją mądrością.

Stach podniósł na nią głębokie oczy; uczucie bezsilności własnéj walczyło w nim z ufnością w wyższą opiekę.

— Czy myślicie Wickowa, że ja zapomniałem o losie, jaki mnie czeka?

Kobieta zmieszała się, ale nie dała poznać po sobie.

— Ha, odparła, musiałeś zapomnieć, bo byłbyś postąpił sobie mądrzéj.

Chłopiec uśmiechnął się smutnie.

— Oj, szepnął, ponoć najmądrzejszy, ten co idzie wedle serca i sumienia.

Mówiąc to wlepił w nią wzrok poważny przekonaniem.

— Ciekawam bardzo, mruknęła Wickowa, gdzie cię te piękne słowa zaprowadzą? Żebyś mnie tylko był posłuchał...

— Przestańcie, przerwał łagodnie, to się na nic nie przyda. Ja nic nie żałuję; dziś, w téj chwili nawet, uczyniłbym to samo... Zresztą posłuchali was inni.

I wskazywał zięcia Plaskotów, który chcąc się odważyć zapewne, wychylał kieliszek po kieliszku.

Był to wysoki przystojny chłopiec, jednak rysy rozlane i smętne oczy świadczyły o małéj inteligencyi; widocznie nie miał żadnéj inicyatywy ani głosu w rodzinie, znać to było po całém obejściu, po bojaźliwém spojrzeniu zwracaném na swoich teściów, po nieśmiałéj mowie do Maryśki.

Wickowa poszła za kierunkiem jego wzroku i wstrząsnęła głową ze złością.

— Pewno, dodała, kto inny na tém dobrze wyjdzie.

— A no, trudno, ja mu nie zazdroszczę.

Kobieta odeszłą rozgniewana. Rzeczywiście los zięcia Plaskotów nie zdawał się godnym zazdrości; ani rodzice, ani nawet żona nie zdawali go się szanować.

Maryśka spokojna, wesoła nawet, spoglądała z pod oka na chłopców, jak gdyby nie miała czepca na głowie.

Starsze kobiety szeptały to sobie po cichu, źle wróżąc o nowém stadle i przypominając wiecznie pisarza. Zresztą może Maryśka nie miała czego się martwić: wszak rodzice jéj przyrzekli męża z wojska wykupić, Plaskota jechał z nim do powiatu, mogła więc być spokojną.

Wreszcie ruszyli wszyscy w drogę. Miasto powiatowe odległe było o mil kilka, przed wieczorem trzeba było stanąć na miejscu. Długi czas dochodziły ich pożegnalne wołania, dzieci biegły za nimi na górę, a tam z pod krzyża czarne oczy dziewczyny słały łzami zalane spojrzenia ku odchodzącym. Długo patrzała za nimi, długo Stach oglądał się, chcąc je raz jeszcze pochwycić: wzrok jéj ołowiem ciążył na nim; zdawało mu się, że z każdym krokiem trudniéj mu postępować. Dwa serca ciągnęły go tam napowrót całą siłą swéj miłości; aż wreszcie dziewczyna, chaty i wioska wszystko to zniknęło w oddaleniu; tylko jeszcze krzyż drewniany rysował się czas jakiś na jasném niebie.

Ale krzyż zniknął, w sercach stało się pusto, tęskno, bolesno, przyszłość nieznana zaczynała ogarniać ich swoją potęgą. Przecież droga była ożywiona: z rozmaitych gmin dążyli po niéj spisowi, spotykano znajomych, krewnych, sąsiadów lub ludzi nieznanych. Jednak złączeni wszyscy węzłem wspólnego losu, poznajamiali się szybko, jedni drugim opowiadali swoje trwogi, nadzieje, dzieląc się duszą i sercem. Wszyscy prawie próbowali ogłuszyć się, niektórzy głośno śmieli się, śpiewali, próbowali żartować.

Stach nie mieszał się do nich. W duchu jego była uroczysta harmonia, któréj lękał się zakłócić, zaś przed oczyma, widział ukochane istoty uśmiechnione i łzawe a kochające zawsze; ich twarze towarzyszyły mu wszędzie, nie potrzebował błahéj rozrywki, jakiéj szukali towarzysze: on nie był samotnym, a smutek jego nawet tak blizki był minionego szczęścia, iż te odblaski rozweselały go jeszcze.

Dopiero gdy nazajutrz rano wszyscy razem gromadzić się zaczęli około wielkiéj sali, gdzie ciągniono losy, gdy wchodziła tam gmina po gminie, i tylko dalekie okrzyki dawały wiadomość o tych co odeszli, pomyślał trzeźwiéj o nieubłaganéj przyszłości.

Wchodzili tam gromadami po kilkudziesięciu ludzi, powracali nie więcéj niż dziesiątkami z jednéj gminy rzadko który spisowy wyciągał los powrotny, z innych znowu kilku zaledwie zostawało. Nigdy owa ślepa potęga trafu tak widomych nie przybierała kształtów, nie stawała tak wyraźnie na drodze ludzkiéj, wszechwładna, osobista nie ledwie, dla jednych wroga, nieubłagana, dla innych pełna łaskawości.

Gmina Stacha jedna z pierwszych losować miała, wszyscy więc jéj członkowie byli w pogotowiu, oczekując stanowczéj chwili. Z Maliniec był tylko on, Adamek zięć Plaskotów i jeden syn gospodarski spokojny o siebie, bo ojciec miał w kieszeni wykupne pieniądze. Ten stał na boku, przyglądając się więcéj z ciekawością niż ze współczuciem wszystkiemu co się działo przy nim.

Adamek i Stach znali się, choć nic nie przyciągało ich wzajem do siebie. Adamek niedawno dopiero ożeniwszy się z Maryśką, przeniósł się do Maliniec; przecież chętni czy niechętni, mieszkańcy jednéj wioski, pracując razem, spotykając się co chwila, koniecznie znać się muszą.

— Stachu, przemówił zięć Plaskotów, którego niepokój powiększał się z chwilą każdą: Stachu, jak wam się widzi, jaki wy los wyciągniecie?

Chłopiec tak zagadnięty zadrżał i podniósł głowę, otrząsając z czoła kędziory złocistych włosów.

— Taki, jaka będzie wola boża, odparł z wolna, zapadając znowu w zadumę.

— Bo ja to mam jakieś złe przeczucie, szepnął Adamek, jak gdyby lękał się trwogi swojéj głośno wypowiedzieć.

Stach spojrzał na niego zdziwiony.

— Alboż to teść was nie wykupi?

— Powiadali, że wykupią pewnikiem, pókim się z ich córką nie ożenił; ale mnie się coś widzi, że tumanią.

— Jakto! zawołał Stach zdumiony.

— A tak, odparł zagadniony skrobiąc się w głowę. Patrzałem ci ja dobrze: jakże mają wykupić, kiedy pieniędzy z domu nie wzięli?

— To być nie może zdawało wam się Adamku.

— A! zdawało się! mówił smutnie mąż Maryski; przecież to o mnie chodzi. Wypatrywałem oczy, żeby coś zobaczyć; czterysta rubli to pieniądz, mało kto dostać go może z kieszeni, a Plaskota nic nie sprzedał z dobytku.

Fakt był przekonywający. Stach zastanowił się nad nim głęboko: był to los, który jego mógł spotkać dla tego też cudza krzywda mocno go zainteresowała.

— Toćże, zawołał, Plaskotowie tym sposobem najgorzéj skrzywdzą swoje dziecko: Maryska zostanie się ni panna, ni wdowa.

— Maryśka! powtórzył żałośnie Adamek; albo ona dba o mnie? Tak jeszcze z początku coś udawała, ale teraz to i nie obejrzała się za mną. Oj, pewnoć co innego w głowie.

— Bójcie się Boga, co wy mówicie? przerwał Stach.

Ale Adamek pomimo to ciągnął daléj żale swoje:

— Oj, mieliście wy dobry rozum Stachu, żeście się z nią żenić nie chcieli, a mnie namówili ludzie, i teraz mi będzie bieda.

Głupowaty chłopiec mówił to z głębokiém uczuciem, wlepiając w towarzysza swego oczy zmącone. W bezmyślnéj twarzy jego wyrył się smutek, czuł się pokrzywdzonym, oszukanym, i lepsza część jego natury oburzała się na to.

— Poczekajcie, nie martwcie się zawczasu, pocieszał go Stach; przecież teść przyjechał z wami.

— Przyjechał, to i cóż? Zobaczy jak mnie pognają w świat, i przyniesie o tém wiadomość do chaty, a może da mi parę talarów na drogę.

— A nie macież wy ojców, coby się za wami upomnieli?

Adamek wzruszył ramionami i westchnął.

— Ojcowie moi dawno pomarli, odparł; gorszym ja sierota niżeli wy.

I ukrywszy twarz w dłoniach, zadumał się głęboko, może myśl jego nie wyrobiona rozbijała się po mózgu, może próbował zdać sobie jasną sprawę z tego co mu wypadało uczynić. Była to bezsilna istota, oburzenie, gniew jego wzbudzały litość. On zdawał się z góry skazany na wyzyskiwanie bezkarne, a nawet na poniewierkę i pośmiewisko złych ludzi.

Stach jednak nie myślał o nim długo: własne położenie nie zostawiało mu na to czasu. Stanowcza godzina za chwilę miała uderzyć. Nadeszła wreszcie: wójt zebrał gminę i wszedł z nią do sali w owe drzwi, na które spoglądali z daleka popisowi z dreszczem trwogi, jak na drzwi Erebu.

(d. c. n.)

KORESPONDENCYA.

Z okolic Krakowa. Swoszowice.

Zakład wód mineralnych. — Jego przeszłość. Teraźniejszość pod względem leczniczym i administracyjno-gospodarskim. — Pogląd ogólny na miejscowość. — Strona estetyczna i przyjemności — Brak zabaw i jaka tego przyczyna. — Postępowanie pod tym względem. — Spółki zdrojowisk galicyjskich — Wycieczki do *Wieliczki*. — Ochronka miejscowa. — Dr. Jan *Rogoziński* i jego działalność w urządzeniu téj ochronki. — Egzamin roczny. — Poświęcenie chorągwi straży ogniowéj ochotniczéj w Wieliczce. — Charakter ludu wiejskiego z okolic Krakowa.

Piękna prawdziwie dolina, gdzie ostatnie odnogi Beskidów spłaszczając się, zamieniają w uroczą powiślańską równinę, o milę w zachodnio-południowym kierunku od Krakowa oddalona, mieści w sobie znaną i niegdyś rozgłośną w kraju wieś *Swoszowice*.

Lud wiejski nazywa ją *siarkami*, a to z tego powodu, że górzyste okolice Swoszowic zawierają w sobie pokłady siarki, która od kilku wieków jest tu wydobywana. Poprzednio stanowiąc zawsze własność prywatną, majętność Swoszowice 1809 roku przeszła na własność skarbu cesarstwa, który przy sobie zostawił kopalnie siarki, samą zaś majętność sprzedał na publicznéj licytacyi. Razem ze źródłami mineralnemi, kupił ją rozgłośny w dziejach miasta Krakowa, jako pierwszy, który podał myśl urządzenia plantacyi drzew otaczających ten gród prastary, Feliks *Radwański*, professor wszechnicy Jagiellońskiéj.

Oczko Wojciech w dziełku swém *Cieplice* w Krakowie w 1578 roku wydaném, wspomina o kąpielach siarczanych w Swoszowicach, które stanowiły własność zgromadzenia kanoników regulurnych w Krakowie. Są to zatém najstarsze wody lecznicze w Polsce, a jak Dr. Dietl Józef obecny prezydent m. Krakowa utrzymuje, „Swoszowice należą bez zaprzeczenia do najznamienitszych ze wszystkich dotąd znajomych źródeł siarczanych, i po jeziorach téj natury, pierwsze miejsce zajmują między wodami siarczanemi całéj Europy.“

Leczą one skutecznie następujące choroby: reumatyzm, artretyzm, chorobę merkuryalną, skrofuły, wyrzuty skórne i wrzody złośliwéj natury, oraz cierpienia nerwowe.

Podług doświadczeń chemicznych, woda siarczana w Swoszowicach, zawiera w jednym funcie aptekarskim $^3/_4$ grana kwasu siarkowodorodnego, kiedy sławna akwisgrańska tylko $^1/_{30}$ gr.

Ścisła analiza chemiczna wykazała, że źródła tutejsze posiadają w znacznéj ilości sole siarczane, jak siarczan sody, wapna i magnezyi, oraz w największym stosunku węglan niedokwasu żelaza. Obok siarko-wodoru (kwas siarczany wodorodny), znajduje się w składzie wody swoszowickiéj w znakomitéj ilości gaz (kwas węglowy).

Tak mocne, tak skutecznie a szybko działające wody mineralne, gdzieindziéj przyniosłyby już miliardy talarów przedsiębiercom i ściągałyby tysiące rodzin corocznie na kuracyę. Swoszowice nie cieszą się ani obecnie, ani w swéj tak dawnéj przeszłości podobném uznaniem publiczności. Jedyną ich wadą jest to, że są wodami *krajowemi*.

W niedawnym czasie przeszły one na własność spółki zdrojowisk, któréj duszą był zbankrutowany bankier krakowski Kirchmajer. Dziś są administrowane na rzecz rzeczonéj wspołki, pod sterem hr. Edwarda Stadnickiego, a pod bezpośrednim kierunkiem p. Aleksandra Furmankiewicza. Lekarza zdrojowego obowiązki w r. b. pełnił goszczący tu doktór powiatowy z Wieliczki p. Jan Rogoziński.

Spółka zdrojowisk w urządzenie zakładu swoszowickiego włożyła znaczny kapitał. Mieszkania dla gości w pałacyku gustownie postawionym, oraz sześciu innych domach ładnéj architektury są wygodne. Pałacyk zajmowali chrześcianie, w innych domkach mieścili się Izraelici, w dość znacznéj liczbie tu goszczący. Ogród sposobem parkowym założony jest piękny i starannie utrzymywany, zdobny w klęby kwiatowe, drzewa zagraniczne i krajowe, a z tych ostatnich zwracają na siebie uwagę pięknie urosłe modrzewie. Łazienki są wygodne i dobrze obsługiwane.

Jeżeli w Swoszowicach zamieszkały gość nie znajduje innéj rozrywki, jak piękne widoki, które sztuka, a jeszcze troskliwsza przyroda stworzyła, jeżeli się nasyci piękną postacią gór wszędzie odrzewionych oficie, nasłucha melodyjnego krakowiaka, którego chłopek tutejszy zawsze nóci przy pracy czy przy zabawie, jeżeli pobożną pielgrzymką natchniony zwiedzi sąsiedni kościołek w Wróblewicach, obejrzy kopalnie siarczane i sposoby wytapiania siarki, jeżeli daléj spacerem zawędruje do Rajska albo do właściwych siarek, a zwłaszcza w jakie święto górnicze gdzie podobać mu się muszą malownicze ubiory i śpiewy pobożne górników, jeżeli nakoniec wejrzy bliżéj w tajniki tutejszéj flory gospodarskiéj i podziwiać będzie w wielkiéj ilości uprawiany groch tyczkowy (fasolę), a co dziwniejsza rośliny pastewne przez tutejszych włościan, tak dalece, że oprócz liściastych, nawet okopowy turneps uprawiają, jeżeli zauważy widoczny brak ptastwa dzikiego, któremu powietrze przesycone siarkowodorem widocznie nie służy:—oto będzie i wszystko z przyjemności swoszowickich skończone.

Nie mieliśmy tu żadnych reunionów, zebrań towarzyskich, żadnych loteryj fantowych, a nawet prawdę powiedziawszy pism peryodycznych i muzyki, boć trudno za koncertantów uważać parę razy w niedzielę grających na dętych instrumentach żołnierzy austryackich. Nie mieliśmy, powtarzam, teatru nawet amatorskiego, ani wszystkich tych przyjemności, jakiemi nas darzą w kąpielach zagranicznych lub nawet u większych wód krajowych.

Zapyta się może niejeden z czytających, *dla czego?* Ot prosta przyczyna: spółka zdrojowisk widząc, że Swoszowice, z powodu niedarowanéj obojętności leczącego się ogółu krajowców, którzy przekładają pozór nad rzeczywistość, to jest skuteczne bez zaprzeczenia wody lecznicze krajowe nad szumnobrzmiące a mniéj skuteczne zagraniczne—powtarzamy, że wody swoszowickie, zamiast korzyści, przynoszą spółce widoczną materyalną stratę, — postąpiła jak ojciec dobry, karzący oględnie swe płoche dzieci. Odebrała więc nam zabawki, a zostawiła istotę rzeczy, to jest dobrze administrowany, zaopatrzony po gospodarsku w pierwsze potrzeby życia tyle zbawienny zakład leczniczy, o którym na przyszłość pamiętać powinni wszyscy krajowi reumatycy, artrytyści, skrofuliści, którzy gdy się zwrócą do Swoszowic, samo z siebie wyniknie, że i spółka zdrojowisk będzie łaskawsza i da nam choć drogie gdzie indziéj, ale swojskie rodzime zabawki, za które pieniądze pozostaną w kraju, bez potrzeby zbogacania Niemców.

Z dalszych wycieczek, obok często się powtarzających do Krakowa, wymienić nam należy parę co znaczniejszych, do *Wieliczki*, o milę ztąd odległéj, bo one, obok przyjemności, dały nam do zanotowania materyał doniośleszego znaczenia.

W dniu 18 Sierpnia r. b. krakowskie pisma peryodyczne, oraz afisze porozlepiane po rogach ulic, objawiły chcącéj się bawić publiczności, że w Wieliczce odbędzie się bal na rzecz miejscowéj ochronki, którego program w streszczeniu był następujący: Zwiedzenie salin, gdzie pod ziemią w rzęsisto oświetlonéj wielkiéj sali odbywały się tańce, następnie w prześlicznym, dobrze urządzonym i starannie utrzymywanym parku miejskim tańce narodowe, fajerwerki przez p. Fiszera bezinteresownie urządzone—oto i wszystko. Zabawa udała się wybornie; przy ślicznéj pogodzie bawiono się ochoczo do północy, gości z Krakowa koleją żelazną, oraz z okolic Wieliczki było 1,200 przeszło. Dochód na ochronkę wyniósł do 1,000 reńskich.

Byliśmy na egzaminie w téj ochronce, w dniu 3 Września r. b. odbytym. Wieliczka liczy do 6,000 mieszkańców— ludność tę składają przeważnie górnicy i rzemieślnicy. Dzieci ich, nie tak dawno jeszcze gdy nie istniała ochronka, puszczone samopas, były plagą dla przechodniów—kamienie w powietrzu warczały. Taki stan rzeczy zwrócił na siebie uwagę zacnego doktora miejscowego Jana Rogozińskiego, który pierwszy powziął myśl założenia ochronki w 1867 r. Do dzieła tego zabrał się z ochotą i zamiłowaniem, znalazły się fundusze ze składek prywatnych, wymyślały się zabawy, o jednéj z których wyżéj wspomnieliśmy. Wszędzie tu na czele z energią i poświęceniem działał dr. Rogoziński, który stworzył tę ochronkę, zebrawszy kapitał zapasowy do 6,000 reńskich wynoszący,—on jest opiekunem téj ochronki, on prezesem jéj—on duszą całego tego zacnego działania.

Dzieci do ochronki, o któréj mowa, uczęszcza około 150; po jéj skończeniu idą co celniejsze do szkół miejscowych, gdzie pomiędzy innymi uczniami wyróżniają się one pracowitością i dobremi obyczajami. Sterują wychowaniu w ochronce zakonnice Felicyanki, a sterują uczciwie i zacnie. Egzamin, o którym mowa, udał się wybornie; skończyło ochronkę w r. b. dziewczyn 19, chłopców 12. Rozdawane były pilniejszym nagrody w książkach i obrazkach świętych. Uroczystość zakończył fest w ogrodzie, gdzie dzieci otrzymały suty podwieczorek.

Jeszcze jedna uroczystość zupełnie podług programu z dnia 18, odbyła się w dniu 25 Sierpnia r. b. w Wieliczce—było to poświęcenie chorągwi nowo-utworzonéj straży ochotniczéj ogniowéj w Wieliczce. Na uroczystość tę zjechali się strażacy ochotnicy-obywatele ze Lwowa, Krakowa, Żywca, Tarnowa i innych miast Galicyi; było nabożeństwo uroczyste w kościele, mowy w ratuszu miejskim, zwiedzanie salin, bal w ogrodzie miejskim, fajerwerki—miał być i teatr amatorski, który nie dopisał wszelako.

Kończąc niniejszą korrespondencyę, winienem wyrazić, że lud w okolicach górskich, czy to bliżéj czy daléj od Krakowa, odznacza się grzecznością, religijnością, oraz piękną a rzeźką postacią. Kobiety noszą prawdziwe korale, które w wianie lub na podarunek od narzeczonych otrzymują. Nierzadko wartość takich korali do 100 reńskich dochodzi.

Krakowiak jest zawsze wesoły—wita cię zdjęciem czapki, pochwalonym i „śpiewką”, nierzadko hołubca wytnie na powitanie, gdy jest młody—szczęśliwi!

BIBLIOGRAFIA.

Dzieje Polski dla młodocianego wieku, przez E. Leja. Warszawa, 1872 r.

Powiedziano jest w nauce chrześciańskiéj: „przestrzegajcie jedni drugich,” ale nigdzie w nauce literackiéj nie powiedziano: „przepisujcie jedni drugich.” Praktykuje się to jednak potrosze, a nadewszystko w książkach, tak zwanych elementarnych, począwszy od samego elementarza, aż do gramatyki i historyi. Z książką wykładową, którąby zawierała coś istnie oryginalnego, jakieś rozszerzenie przedmiotu lub udokładnienie, spotkać się nader trudno. I to samo rzec można o niniejszych „Dziejach Polski dla młodocianego wieku.“ Powódź mieliśmy już podobnych kompendyów, i nic łatwiejszego jak z dziesięciu poprzednich utworzyć jedenasty; ale gdzież jego racya bytu? Czy tylko materyalnie, w wyczerpaniu dawniejszych? Ależ takie wydawnictwo byłoby tylko prostą spekula-



Cypryana Godebskiego pomysł pomnika dla ś. p. Stanisława Moniuszki.

cyą księgarską, a robota ćwiczeniem szkolném. Nie ma w tém wprawdzie nic szkodliwego, jeśli rzecz odbędzie się sumiennie i bez błędów; lecz gdzież jest postęp, zasługa?

Ażeby ostatni podręcznik miał iście postępową wartość, powinien wcielić w siebie wszystkie nabytki do jego czasów osiągnięte, zdobyć sobie jaką własną a ulepszoną metodę; słowem, mieć coś takiego coby go z téj lub owéj przyczyny czyniło poszukiwanym dla jakiéjś specyalnéj wartości. Inaczéj można w razie wyczerpania przedrukować wprost jednę z książek dawniejszych, pożytek będzie ten sam a oszczędność czasu i kosztu znaczna.

międzynarodowém znaczeniu, o jego posłanictwie cywilizacyjném, o jego umysłowych pracach,—niby o tém co treść i istotę społeczeństwa stanowi. Dla obeznania dzieci dzisiejszych z tém wszystkiem, a może ta rzecz godną by była wykonania w nowo wychodzącym podręczniku, potrzeba naprzód samemu mieć dobre obeznanie, a powtóre umieć to udostępnić umysłowi dziecięcemu, co nie jest bynajmniéj niepodobne, tylko nieco przytrudne. Ale kto występuje na pole autorskie ten z temi trudnościami z góry policzyć się powinien. Kto zaś pragnie się przyjrzeć jak z tych trudności względem młodocianych umysłów wychodzi autorka, niech przenich przygotowane. W rozdziałach tych znajdujemy toż samo powtórzone co się od wieków powtarza, bez żadnéj uwagi na stronę mityczną prócz téj przestrogi że do tych opowiadań „żadnéj wiary przywiązywać nie można.” Ależ roztropne dziecko gotowoby zapytać:—i po cóż nam ta pani opowiada to czemu sama nie wierzy i co nigdy miejsca nie miało? Pytania tego autorka nie uprzedza niczem ani nie objaśnia niczem.

Jako pewne ulepszenie wprowadziła wprawdzie pogląd na Sławiańszczyznę, z pośrodka któréj wyłoniła się Polska, jako państwo. Myśl oczywiście dobra, ale w jakiż sposób wykonana?



Góra Płonąca w okolicach miasta Saarbrück.

Pani Leja obmyślając kompendyum dla dzieci, oryginalność swą zastosowała tylko do stylu, ale nie bynajmniéj do rzeczy. Jesto poprostu przerobienie *Pielgrzyma z Dobromilu* (co do samych dziejów).

Książka pani Leji jest komunalnym podręcznikiem domowym, z którego dziecko może się istotnie czegoś dowiedzieć, ale to nie jest ani wiedzą ani zasługą autorki, bo toż samo spisane znalazła na tysiącach kart. Są to słowem oklepane pogadanki o królach, przeplatane podobnież oklepanemi anegdotami historycznemi; bez żadnéj wzmianki o duchu narodu, o życiu wewnętrznym o jego przymiotach i wadach, o jego czyta (str. 32) rozdział o Bolesławie Chrobrym spisany na dwóch karteczkach grubego druku, a którego większą część zajmuje wykup ciała S Wojciecha i koronacya na króla; oraz (str. 109) rozdział o Zygmuncie Auguście, z którym autorka także załatwiła się w podobny sposób i podobnie ważne zanotowała fakta.

W przytoczeniu też podań przedhistorycznych autorka nie kierowała się żadną myślą krytyczną, nie nasunęła nawet na myśl dziecku tego co znaczyć może nazwa Lech, i jakie były powody zrzucenia przewagi Lechów na korzyść Piastów, a przecież dziecko ma się kiedyś spotkać z temi rozumowaniami i powinno być do Nasamprzód niewiem dla czego rozdział ten umieszczony jest w trakcie opowiadania już dziejów saméj Polski, bo po Ziemowicie, kiedy właściwie powinienby rozpoczynać książkę. Powtóre rozdział ten zawiera nie więcéj tylko suchą nomenklaturę etnograficzną i topograficzną, która dziecku nie przydała się na nic, albo na bardzo mało. O religii Sławian, o kulturze, o obyczaju, co właśnie stanowiłoby grunt pożytku i zajęcia umysłu dziecka, ani słowa. Co wreszcie, topografia znaczy bez mapy, któréj tu nie ma. Znaleźliśmy tu przytém wyrażenie (str. 21), z którém nie wiem jak sobie dziecko poradzi, bo i my z niem sobie nie bardzo radzi-

my: „ku zachodowi za Dnieprem byli Radymiczanie i Wiatyczanie, tak zwani dla tego, *że na borach siedzieli*" Cóż to za racya? że ktoś mieszka w lesie, to ma się nazywać Radymiczaninem lub Wiatyczaninem?

Wieje to tam wprawdzie poczciwy duch z téj książeczki, ale trudna rada: najlepszy sentyment nie zastąpi średniéj pedagogii i krytyki. A pod tym względem „Dzieje" p. Leji ustępują tym które „Stryj opowiedział synowcom," ustępują Balińskiemu, Siemieńskiemu, a nawet Rogalskiemu. W wyjściu ich na widok publiczny większa zasługa jest druku jak rękopismu. *K.*

LITERATURA ZAGRANICZNA.

L'Homme-Femme par Alexandre Dumas (fils). Paris 1872.

Zaledwie upłynęło kilka tygodni od czasu jak Aleksander Dumas (syn) napisał rozprawę pod tytułem: „L'Homme-Femme" w formie odpowiedzi na artykuł pana d'Ideville umieszczony w dzienniku Le Soir, a już płód jego filozoficznych marzeń doczekał się w Paryżu około dwudziestu wydań. Publiczność lubi zręczne paradoksa, zwłaszcza gdy są przyodziane w szatę wykwintnego stylu i ozdobione humorem lekkim a połyskliwym obok pozornéj powagi; im zuchwalsze tém bardziéj zaostrzają one ciekawość tłumu, która w sprawach moralności i oświaty zbyt ważną gra rolę żeby nie należało zwracać uwagi na to, czém jest podniecaną, i w jaki sposób zaspakaja swoje pragnienia. Zły lub dobry utwór, jeśli tylko żywo zajmuje massy czytające, nabywa już przez swoją wziętość znaczenia społecznego, i dla téj mianowicie przyczyny nie dość jest sądzić poczytną książkę według jéj literackiéj lub naukowéj wartości, która być może, na baczność specyalnéj krytyki nie zasługuje, lecz wypada cenić dzieło jako przedmiot zajęcia się ogólnego, więc w stosunku do wrażeń jakie obudza i do następstw które zaszczepia.

Krąży tedy po bożym świecie dwupłciowy twór czy potwór Aleksandra Dumasa w wielu tysiącach egzemplarzy, wabi dziwaczną nazwą swoją, wywołuje za granicą spory ustne i piśmienne, a prawdopodobnie za dobrym przykładem stanie się popularnym i u nas, współzawodnicząc w smaku i użyteczności z paryzkim krojem sukień, z kokiem i turniurą. Wielowładna moda tyle przecież lichych rzeczy do nas przynosi pewna zawsze gościnnego przyjęcia i łaskawego uznania!...

Bądź co bądź, przypatrzmy się, co też w mglistą stronę północy przybywa tym razem z błyszczącego zachodu?

Rozprawa Dumasa odpowiada na zapytanie: czy wolno zabić wiarołomną kobietę?

Nieprawdaż, miła wątpliwość w chrześciańskiém społeczeństwie i w drugiéj połowie XIX wieku?

Wszakże nierównie jest ciekawszą odpowiedź romanso-pisarza-filozofa. Utrzymuje on że nietylko zabić wolno, ale nawet zabić trzeba koniecznie bez sądu i bez kontroli, powodując się jeno własnym interesem i słuchając własnego sumienia. Tą nieodwołalną instancyą w któréj sędzia i oprawca łączą się w jednéj osobie jest mąż, kapłan-ofiarnik dziwnego nabożeństwa. On wyłącznie wezwanym został przez Boga do namiestnictwa pełnomocnego na ziemi, jemu przeto niepodzielnie służy przywiléj panowania z bożéj łaski nad światem, a więc i nad kobietą. Bóg, mężczyzna i niewiasta będąc zasadniczemi pierwiastkami wszystkiego co istnieje, stanowią trzy strony wiecznego trójkąta, w którym Bóg przedstawia wszechmoc, mężczyzna pośrednicząc między Stwórcą i stworzeniem uosabia *ruch*, niewiasta zaś jest pomocnicą mężczyzny i wyobraża formę z przeznaczenia swego ruchowi podwładną. Takie, twierdzi autor, jest prawo natury wiekuiste i niezwyciężone, chociaż niedostatecznie poznane przez ludzi. Rozszerzenie dotychczasowéj działalności, jak tego chcą postępowcy, na niby się nie przydało kobietom, bo prawodawstwo, dowództwo nad wojskiem i w ogóle służba publiczna tak samo nieprzystoi żywiołowi niewieściemu, jak byłoby śmiesznem żeby mężczyzna zapragnął obnażać ramiona i karmić piersią niemowlęta. Dla płci słabéj właściwemi są trzy tylko stanowiska, które z rozkazu Stwórcy pozostawiło jéj społeczeństwo, trzy sfery, w których ona swobodnie poruszać się może: świątynia, rodzina, ulica. Do pierwszéj zaliczają się panny, do drugiéj matki zamężne, do trzeciéj matki niezamężne i wszystkie kobiety rozpustne. Czyż tego za mało? Czyż nie mądre to i dokładne tłómaczenie Sprawiedliwości najwyższéj, która dając do wyboru połowie rodzaju ludzkiego: dziewictwo, uprawnione macierzyństwo lub nierząd, pozwala kobietom zostać westalkami jeśli natura rozwinęła w nich zamiłowanie czystości, wyjść za mąż jeśli to najprzód zgadza się z ich upodobaniem, a powtóre jeśli mężczyźni zechcą je poślubić, lub nakoniec, prowadzić życie rozwięzłe, do którego już od kolebki usposabia i przeznacza je dobrotliwa Opatrzność? Powiedzieliśmy: Sprawiedliwość boża *daje do wyboru* trzy udziały kobiecie, lecz cofamy to wyrażenie jako niezgodne z teoryą Dumasa; według niego z udziałów tych wybierać nikt nie może, gdyż sama natura wyposaża jednostki, a społeczeństwo nieznając treści wyroków określających z góry przyszłość téj lub owéj kobiety zdoła tylko istoty urodzone na to, żeby brnąć w rozpuście, przerabiać ze swoją szkodą na sakramentalne strażniczki domowego ogniska.

Celem społeczeństwa jest porządne zużytkowanie sił ludzkich, nie zawsze jednak spełnia ono ten cel jak należy, już dla tego że nie wie wszystkiego co powinno wiedzieć, już z téj przyczyny, że zapomina o tém co wie, lub wreszcie że nieumie dotąd jeszcze radzić sobie inaczéj. Społeczeństwo działa zwykle na mocy widocznych faktów niezdając sobie sprawy z kierunków tajemniczych i z pobudek pierwotnych. Pokaż mu młodą panienkę, a powita w niéj, bez wahania się, *kobietę świątyni* (femme de temple), pokaż żonę lub matkę rodziny, a uzna w niéj kobietę domowego ogniska (femme de foyer), pokaż heterę, a powie ci spuszczając oczy: kobieta ulicy (femme de rue). Powierzchowne oznaki wystarczają mu do podziału osób płci niewieściéj na trzy nieuniknione kategorye, często atoli społeczeństwo ani się domyśla że osoby szanowane powszechne jako czyste dziewice lub jako żony i matki, natura przeznaczyła na nierządnice, przeciwnie zaś inne, upadłe i zhańbione przeznaczonemi były zająć miejsce w świątyni lub w gronie rodzinném. Ztąd liczne przykłady nieszczęśliwych małżeństw, ztąd biorą początek dramata przymusowych upadków kobiety, ztąd także widzimy nie jedną tragi-komedyę wiarołomstwa.

Najrozsądniéj zatem dla społeczności i najbezpieczniéj dla mężczyzny iść za wskazówkami przyrody, to jest, oddać rzadki okaz westalki na ofiarę świętym ogniom czystości, a heterę zostawić ulicy—niech tarza się w błocie ku uciesze żywiołu męzkiego i dogadzając w tém woli ciążącego nad sobą fatalizmu. Są to stworzenia stracone dla życia towarzyskiego, rodzą się dla tego żeby ginąć bezużytecznie lub utonąć w bezwstydzie. Dla nich nie ma przytułku w trójkącie Aleksandra Dumasa, nie ma węzła któryby je łączył ze światem, nie ma roli w społeczeństwie, nie ma ratunku, nie ma przyszłości. Mężczyzna powinien je unikać z poszanowaniem lub ze wstrętem, ale zawsze unikać, bo one mogą być tylko dlań szkodliwe lub nie przydatne, a kobieta bez mężczyzny do niczego nie jest zdolną, jak on nic zrobić nie może bez Boga. Skoro ją odrzucił—a odrzucić nakazuje mu rozum i radzi p. Dumas — kobieta stanie się wydziedziczoną z treści swéj ludzkiéj i przyjdzie do rzędu aniołów jeśli jest ze świątyni, do rzędu zwierząt jeśli należy do ulicy. Wynika to ściśle z zasad przez autora wypowiedzianych, a zresztą Dumas wniosek ten przewiduje i sam bez ogródki nazywa kobietę ulicy małpą z krainy Nod, a w bliższém pokrewieństwie od antropofagów ją wyprowadza.

„Odpowiedzą mi, mówi on, że wychowanie zmienia, naprawia i niszczy fatalizmy wrodzone. Tak, wychowanie ulepsza dobrych, krzepi słabych, co już niezmiernie wiele znaczy, ale nie może ono oddziałać na czynniki psychiczne, z których się wytwarzają pewne osobistości. Wychowanie chroni nas czasem od złych wpływów, które często przyjmujemy za jedno z dziedzicznie nabytemi skłonnościami, ale nie poprawia ani nikczemników, ani dumnych, ani skąpców, ani zawistnych, ani sprośnych, owszem dostarcza im środków do łatwiejszego i skuteczniejszego rozwinięcia swéj nikczemności, pychy, skąpstwa, zazdrości i rozpusty, dając nad to sposobność ukrycia swoich wad pod maską obłudy, co zwiększa ich niebezpieczeństwo. Smutne nawet następstwa żądz i przywar nie są wstanie uleczyć ludzi, którzy przywarom tym i żądzom ulegają. Napróżnobyś wychowywał starannie niedźwiedzia i wiązał mu do szyi błękitne wstęgi, nigdy go na psa nieprzerobisz. Nie przestaną w nim budzić się popędy drapieżne, nie przestanie on tęsknić do lasu i prędzéj czy późniéj schwyci cię za gardło.... Ale człowiek, nie jest dzikiem zwierzęciem jak tygrys i niedźwiedź, człowiek ma duszę. Chcesz zapewne powiedzieć że będzie ją miał. Rzeczywiście, jest teraz na świecie pewna ilość ludzi mających duszę. Ale ilu? Pięciu na stu? Zdaje ci się że liczę za mało, więc dajmy na to, dziesięciu? Co do mnie, sądzę że to za wiele...

„Spotykamy codziennie, uważa Dumas, indyanki o różanéj cerze i murzynki o białych i pulchnych rączkach z rodzaju ludojadek, które nie mogąc pożréć człowieka na surowo, gryzą go żywcem jak przystało na kobiety ucywilizowane w przyprawie małżeństwa lub rozkoszy, i zaopatrzywszy się w talerze, serwety widelce kubki do płókania ust, sakramenta i opiekę prawa"... Rozumie się, że według teoryi autora, są one wszystkie zwykłemi nierządnicami, bez względu na to czy wychowały się i żyją w salonach, czy gnieżdżą się na poddaszach; położenie, dostatek, śluby prawnie zawarte i macierzyństwo nie ścierają z nich piętna ulicy, do któréj należą i do któréj, przechodząc lub przeskakując ognisko rodzinne, wrócić muszą. Pojąć taką kobietę za żonę znaczy dobrowolnie ściągnąć na siebie wstyd i niedolę oczekującą u drzwi przybytku już od chwili wstąpienia w jego progi nowożeńców. Dla oszukanego mężczyzny zbliża się pora odpokutowania za omyłkę, bo oto w osobie młodéj żony wprowadził do domu swego, kobietę wbrew jéj instyktom ciągnącym ją

gwałtownie na bezdroża. Sam zawinił lekkomyślnością, sam też znosić będzie skutki popełnionego błędu. Odtąd nad honorem jego i szczęściem domowém unosi się miecz Damoklesa, odtąd mężczyzna przykutym jest do niewiasty, której natura odmówiła przymiotów małżonki. Prawo społeczne nie pozwala mu zerwać tego łańcucha, mniejsza z tém że cięży i rani—na skargi ono nie zważa, a wdaniem się swojem uprzedzać klęski nie chce i niepotrafi. Małżeństwo obowiązuje dozgonnie; przysiągłeś uroczyście, dotrzymuj sumiennie przysięgi! Kto ci kazał zawierać niebaczne śluby? zapytuje społeczność. Goniąc z własnéj woli za przyjemnościami naraziłeś się na straty, cierpże teraz w milczeniu, bo inni uważniejsi od ciebie lub wstrzemięźliwsi życzą sobie, ażebyś im nie zakłócał spokoju i nienaruszał ustanowionego porządku, Dla tego, że jakiś roztrzepaniec umieścił się nie roztropnie między zębatemi kołami i kółkami, między ostremi hakami i haczykami gwarancyi społecznych, które go szarpią i dławią, dla téj jednéj przyczyny nie można hamować, rozbierać i układać na nowo mechanizmu towarzyskiego, zawieszać biegu spraw ogólnych, trzymać w niepewności i w zamęcie tysiące, ba, nawet miliony innych ludzi, którzy przyzwyczaiwszy się już do panującego stanu rzeczy, urządzili się stosownie, stosownie działają i na korzyść odpowiednią swéj pracy liczą.

Wprzągłszy się w jarzmo małżeńskich obowiązków mężczyzna choćby je późniéj targał i łamał rozpaczliwie, nigdy nie uwolni się całkowicie od włożonego ciężaru, nie rozszerzy legalnych swobód, i nieuprawni swoich nie urzędowych potomków. Może on stać się niewiernym swéj żonie, ale jéj nie narzuci cudzych dzieci, nazwiskiem jéj nieobdarzy natrętów i niewmówi w nią zdradliwie macierzyństwa przypuściwszy nawet że posiada talent Talleyranda podszyty zdolnościami p. Bismarka. Przeciwnie, ojcowstwo jego jest ciągle na łasce kobiety. Zręczna hetera zdradzi go tyle razy ilekroć znajdzie ku temu sposobność wyzyskując łatwowierność męża dopóki występek swój zdoła utaić przed nim, lub okrywając go śmiesznością gdy tajemnica zostanie przeniknioną. Obecne ustawy małżeńskie w kraju cywilizowanym przychylają, zdaniem Dumasa, szalę dogodności małżeństwa na stronę kobiety. Szczęśliwa istota! Wolno jéj od czasu jak włożyła na głowę czepek mężatki, swobodnie patrzeć (!) poznawać, krzątać się (aller et venir), zmienić swoje nazwisko i skrycie zniesławić człowieka, którego stała się materyalną i moralną własnością... A przed tém, czemże była?

Przed tém była niczém—lub prawie niczem; pomocnicą (l'auxiliaire) od któréj nikt nie wymagał pomocy, treścią możebnych lecz nieobudzonych processów *„formą”* żądną *„ruchu”*, narzędziem gotowém choć jeszcze niepowołaném do użytku. Siedziała zniecierpliwiona w „świątyni” oczekując aż wybawiciel w postaci męża czy kochanka zlituje się nareszcie i przyjdzie otworzyć drzwi więzienia kluczem prawa lub wytrychem bezprawia.

Pogląd taki na znaczenie kobiety w społeczeństwie zdaje się być prostém szyderstwem a jednak obwinięty w bawełnę gładkich słówek uchodzi za hasło rozsądku i uczciwości. Nie jest on wszakże oryginalnym wymysłem Dumasa. Pogląd ten rozgościwszy się od wieków w ustroju prawodawczym, obyczajowym i pedagogicznym zasiał w mężczyźnie kąkole najszpetniejszego egoizmu tępiąc jednocześnie w kobiecie wolę, samodzielność i uczucia dostojeństwa

Zaiste, p. Dumas słusznie dostrzega spadkowych znamion dzikiéj hordy w oświeconych ludziach spółczesności. Kwestya moralnego stosunku dwóch płci którą tak dowcipnie tłómaczy i żarliwie broni jest najlepszym téj dziedziczności dowodem. *(d. c. n.)*

CYPRYANA GODEBSKIEGO

pomysł pomnika dla ś. p.

STANISŁAWA MONIUSZKI.

Wszyscy się na to zgadzają, iż Moniuszkę pomnikiem uczcić należy, od tego jednak uznania, od chęci do czynu, jak wszędzie tak i tu odstęp tak znaczny, iż dużo jeszcze dobréj woli i poświęcenia nawet potrzeba aby pamiątka przyszła do skutku,

Wielką pomocą i ułatwieniem osobom, które bliżéj tą sprawą zajmują się, stało się samorzutne oświadczenie artysty rzeźbiarza p. Cypryana Godebskiego, pragnącego poświęcić bezinteresownie pracę swoją na dokonanie tego pomnika, a nadto gotowego nawet do pewnych materyalnych poświęceń gdyby fundusz uzbierany nie był w stanie pokryć kosztów, jakie na zgromadzenie materyałów rzeźbiarskich wyłożyć wypadnie. Niepodobna było nieprzyjąć tak szlachetnéj propozycyi.

Chciejmy teraz zapoznać się nieco z pomnikiem i z autorem onego.

Załączona rycina przedstawia nam pomnik w proporcyach, w jakich do człowieka znajdować się ma, nadto objaśnia nas, iż zamiarem autora jest umieścić go w kościele przy filarze,—byłaby to bardzo piękna u nas nowość, praktykowana po wszelkich Panteonach. Daléj postrzegamy, iż medalion wprawiony w sarkofag ma być bronzowy, reszta całéj podstawy posągu z ciemnego, sama zaś postać smutkiem dotkniętéj muzy z białego projektowana jest marmuru. O ile z rysunku tak drobnych rozmiarów w porównaniu z istotną wielkością pomnika wnieść można całość będzie bardzo poważna, pełna odpowiedniego przeznaczeniu charakteru, czy zaś będzie piękna niech nam na to odpowie dość długa już i świetna karyera młodego artysty jakim jest p. Godebski.

Ponieważ to nie ma być biografią ale wzmianką naocznego świadka niektórych dawniejszych prac p. G., pominiemy więc datę urodzenia a zaczniemy od tego, że już w roku 1857 artysta ten jakkolwiek bardzo podówczas jeszcze młody miał na wystawie w Paryżu, gdzie się kształcił, biust jednego z marszałków Francyi, który zwrócił powszechną uwagę znawców i nieznawców.

Daléj z wspomnień podróży z roku 1860 w Lipcu notuję: We Lwowie stawiano wtedy dom inwalidów bardzo kosztownie zbudowany, frontowe płaskorzeźby tego budynku przedstawiające pokój i wojnę, zostały powierzone p. Cypr. Godebskiemu, którego pracownią zwiedzając oprócz tych pięknych pomysłów w modelach tam ustawionych, znalazłem więcéj niż naturalnéj wielkości popiersie starca, w którém doskonałość w wyrobieniu ciała z samą chyba naturą porównać by się dała.

W ciągu lat dwunastu od onego czasu widzimy Godebskiego pracującego nad pomnikami i innemi dziełami sztuki w Belgii, w Wejmarze i w ogóle po całéj zachodniéj Europie, nazwisko to zjednało uznanie i dość rozgłośną sławę o któréj z ujmą skromności wspomnieć tu nie wahamy się dla tego iż już publicznie postawiony został w dziennikach zarzut jakoby p. Godebski był osobistością zupełnie dla nas nie znaną. Jeżeliby już nic innego to ofiara jaką ponieść zamierza dla doprowadzenia do skutku pomnika znakomitego mistrza zmarłego, zupełnie nawet obcemu dałyby prawo obywatelstwa pośród tych którym przyjść zamierza w pomoc pracą aby uczcić zasłużonego. *W. G.*

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

NIEMCY WSPÓŁCZESNE.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 74).

Dawid Strauss, przez Wiktora Cherbuliez'a.—Poeci nowego cesarstwa, przez tegoż.—Teodor Mommsen, przez Gastona Boissier'a. (Revue des deux Mondes, Luty, Marzec i Kwiecień z r. b.)

Ten niezdecydowany koloryt pism Straussa sprawił, że dotąd sami jego zwolennicy nie potrafili zdać sobie dokładnie sprawy ze stanowiska autora. Jedni uważają go za bezwzględnego sceptyka, zaprzeczającego apodyktycznie wszystkiemu, co dotąd było święte i drogie ludzkości,—inni widzą w nim filozofa wolno-myśliciela, gorącego wyznawcę idealizmu Hegla.

Przedewszystkiém błądzą ci, co w autorze „Życia Chrystusa” dostrzegają filozofa. Dr. Strauss jest przeważnie, a nawet wyłącznie teologiem. Hegel powiedział gdzieś, że wielu ludzi nie zajmuje się filozofią, jako umiejętnością oddzielną, ale jedynie w nadziei znalezienia w niéj religii. „Pragną, aby prawdy filozoficzne powróciły im wiarę, którą utracili, żeby nauka spełniała względem nich obowiązki pastora.” Dr. Strauss podobny jest do tych ludzi. Jakkolwiek z wielu pojedynczych doktryn zawartych w „Życiu Chrystusa” możnaby go posądzić o hegelianizm czystéj wody, bliższe wniknięcie w rzecz łatwo przekona, że dr. Strauss zaczerpnął z Hegla to tylko, co mogło posłużyć na użytek jego teologii.

Dr. Strauss nie jest także sceptykiem. Natura usposobiła go raczéj do pewnego nieokreślonego marzycielstwa, połączonego z błogim, niczém niezamąconym pokojem duszy. Żył on zawsze w zgodzie z sobą i ze swemi myślami W pismach jego nie przebija się rozpaczliwe szamotanie duszy, która wpadłszy w czarną otchłań zwątpień, chwyta się pierwszéj lepszéj deski ocalenia, aby się od zupełnego rozbicia uchronić. Takie poetyczne cierpienia wyższych umysłów, nie były znane autorowi „Życia Chrystusa”. Myśl jego pokłócona bądź z tradycyą bądź z rzeczywistością, umiała sobie łatwo wyszukać drogi pogodzenia.

Mówią, że wierna fotografia wrażeń pierwszéj młodości pozostaje w duszy na całe życie. Dr. Strauss w młodzieńczych swych latach był pastorem małéj parafii, a zrzuciwszy duchowną sukienkę, nie zapomniał ani na chwilę o obowiązkach pierwszego powołania. Ztąd we wszystkich jego dziełach teologiczno-krytycznych napotykać się daje dążenie do leczenia ran, które sam autor zadaje, do uspokojenia i łagodzenia wątpliwości obudzonych w sumieniach. Jeżeli w pierwszéj części autor wstrząsa wszystkiemi na raz podstawami wiary, jeżeli najdroższe złudzenia serca niszczy i rozprasza, jednocześnie zdaje się mówić: „Pozbądźcie się obawy nie wpadajcie od razu w rozpacz, czekajcie,—w drugiéj części wy-

łożę wam istotną prawdę, która zwątpienia rozwieje, rany duszy jak słodki balsam ukoi i wszystkim pragnieniom uczyni zadość!" Jeden z nieprzyjaciół dra Straussa, porównywał go do lekarza, który co wieczór ze szpadą w ręku napada przechodniów na ulicy, aby za chwilę powrócić z narzędziami chirurgicznemi i opatrywać własne ofiary.

Rola reformatora religijnego była i jest dotąd marzeniem autora „Życia Chrystusa." W obec klątwy rzuconéj na niego przez kościół, dr. Strauss protestuje, głosi się wierzącym i chrześcianinem. Chrystyanizm według niego ciągle się doskonali;—objawiając więc światu nową jego interpretacyę, spełnia się przyjacielską usługę. Nie poprawia się przecież tego, czego się nie kocha.

Na nieszczęście, aby zostać prorokiem, nie dosyć jest wierzyć mocno w to co się wyznaje,—potrzeba jeszcze, aby temu uwierzyli inni. Kościół, który dra Straussa uważa za jednego z najzawziętszych swoich nieprzyjaciół, nie zdaje się skłaniać do uwierzenia w czystość jego zamiarów. Obojętni i neutralni chętnie radzi przyklasnąć doktorowi Straussowi, zmuszeni są jednak przyznać, że jego *credo*, przedstawia wiele trudności, że nadzieje i pociechy, które ofiaruje wiernym, nie są warte tych, które im odbiera,—że zdaje się rzeczą niepodobną zbudować nowy kościół na kilku wywodach krytycznych i kilku twierdzeniach filozoficznych, że wreszcie religia oparta na samym tylko rozumie, nigdy i nigdzie nie znalazła wyznawców. Co do filozofów, ci znów zarzucają autorowi niekonsèkwencyę,—twierdzą, że niedorzecznością jest odbudowywać dom, zniszczywszy najprzód jego fundamenta, i nazywać się chrześcianinem, zaprzeczywszy bóstwu Chrystusa.

Dr. Dawid Fryderyk Strauss urodził się w Wirtembergii na łonie rodziny pobożnéj, która go wcześnie przeznaczyła do zawodu duchownego. W czternastym roku życia opuścił miasto rodzinne Ludwigsburg, aby zostać uczniem jednego z czterech seminaryów, w których kształci się przyszłe duchowieństwo wirtemberskie. U źródeł rzeczki Blau wpadającéj do Dunaju, podróżny udający się z Urachu do Ulmu, napotyka małe miasteczko Blaubeeren ze starym klasztorem benedyktynów, który podczas wielkiéj reformacyi został skonfiskowany i przeznaczony na szkołę przygotowawczą teologii protestanckiéj. W cieniu tych poświęconych, mchem czasu porosłych murów, w téj samotni, „do któréj nie przenikały ziemskie radości i burze" rozwijała się młodość przyszłego autora „Życia Chrystusa." Wychowanie tam było poważne i surowe, zamknięcie ścisłe, reguła prawdziwie klasztorna. Jednakże duch 19 stulecia, ten duch wątpiący i ciekawy, zdołał przedrzeć się w głąb starożytnych murów benedyktyńskiego klasztoru. Jednym z professorów przewodniczących temu młodemu pokoleniu Lewi, był Chrystyan Bauer, wtedy jeszcze nieznany późniéj założyciel wielkiéj szkoły krytycznéj. W lekcyach swoich słynny krytyk, dzielił się z uczniami procesem własnych myśli, ukazywał wątpliwości, które nim samym wstrząsały. Od tego uczonego zaczerpnął Strauss ścisłą, gruntowną, pewną siebie metodę badań, która stanowi największą może późniejszych jego pism zaletę.

W biografii Justusa Koernera, pełnéj wdzięku, werwy i humoru, dr. Strauss sam opowiada dalsze koleje swéj młodości. Kiedy skończywszy seminaryum, stanął na progu uniwersytetu w Tybindze, młodzieńcza jego dusza zachowała w całéj czystości dziewicze skarby wiary. Wszechnica, któréj został uczniem, nie była wtedy jeszcze ogniskiem wiedzy swobodnéj i samodzielnéj,—gwiazdy pierwszéj wielkości błyszczące wówczas na widnokręgu filozofii niemieckiéj, zlewały na uniwersytet Tybingski zaledwie blade niepewne światełko. Panował tam wyłącznie suchy racyonalizm, zbudowany na starzejącéj się już doktrynie Kanta. Cały ten apparat dyalektyczny, za pomocą którego filozof królewiecki wyjaśniał problemat poznawania i myslenia, nie bardzo trafiał do przekonania młodego Straussa. Zresztą filozofia obchodziła go jedynie w punkcie zetknięcia z religią. Zaczęły go już dręczyć tajemnice nieskończoności, do których napróżno młodym umysłem przedrzeć się usiłował. Choćby sam tego był nie powiedział, łatwoby przyszło odgadnąć, że pierwsza skłonność téj chciwéj prawd nadprzyrodzonych duszy, objawiła się dla mistycyzmu. W owym czasie słynął w Zgorzelcu niejaki szewc, nazwiskiem Boehme, który robił cuda, obcował z światem nadziemskim i głosił światu nową naukę objawioną. Strauss został najgoretszym uczniem tego mistrza. Zdawało mu się, że znalazł w szewcu zgorzelickim wieszcza natchnionego, który go zaprowadzi wprost na łono prawdy. „Uwierzyłem w Boehmego—pisze—więcéj, aniżeli kiedykolwiek wierzyłem w proroków i apostołów."

Były to czasy panowania mistycyzmu w Germanii. W każdym niemal zakątku téj rozległéj ziemi pojawiał się jakiś prorok lub jasnowidzący. Po śmierci Boehmego, Justus Koerner, poeta romantyczny, marzyciel i magnetyzer, przyjął do swego domu w Weinspergu lunatyczkę, którą pielęgnował i leczył, a która stała się głośną pod nazwą: „Jasnowidzącéj z Prewoust." Dawid Strauss nie miał chwili spokojnéj, dopóki nie przyszło mu na własne oczy zobaczyć wieszczki i za jéj pośrednictwem rozmawiać z duchami, które ją nawiedzały. W biografii o któréj wspomnieliśmy wyżéj, znajdujemy żywy opis tego pierwszego spotkania i wrażeń, jakie wstrząsały duszą młodego studenta. *(d. c. n.)*

GÓRA PŁONĄCA

W OKOLICACH MIASTA SAARBRÜCK.

Dolina rzeki Saary biorącéj początek w Wogezach, obfituje w bogate pokłady węgla kamiennego, któremi prowadzi handel tak w Niemczech jako i we Francyi.

Dziko romantyczne jéj okolice, rysujące się na widnokręgu, wzgórzami, urwiskami skał, gęsto zarosłym lasem; urozmaica widok płonącéj góry w lesie, w pobliżu miasteczka Duttweiler położonego o milę drogi od Saarbrück. W głębokiéj kotlinie otoczonéj zewsząd urwiskami skał, wznosi się nieznaczne płaskowzgórze, buchające z rozlicznych szczelin gęstym dymem barwy żółtéj wydającéj woń palącéj się nafty.

Wedle wiarogodnych źródeł, od dwustu lat, kiedy pierwszy raz dostrzeżono to zjawisko, dym ciągle utrzymuje się w jednéj mierze i nietylko nie szkodzi okolicznéj roślinności, ale owszem nader skutecznie dopomaga jéj rozwojowi. Kiedy bowiem w porze zimowéj znika wszelka roślinność, w dolinie płonącéj góry, lato panuje ciągle, zdobne w kwiaty i wiecznie zieleniejące drzewa; powierzchnia jednakże ziemi jest tak dalece rozgrzaną, że przez obuwie daje się czuć mocne jéj gorąco, a na saméj górze, niepodobna dotykać się kamieni gołemi rękami.

ROZMAITOŚCI.

— Do jakiego stopnia rozwoju doszło w Wielkiéj Brytanii dziennikarstwo, można widzieć z cyfr następujących: W samym Londynie wychodzi w roku bieżącym 268 czasopism; w hrabstwach Anglii właściwéj wychodzi 843; razem tedy na Anglię przypada 1,111 czasopism. Inne prowincye korony angielskiéj stoją niżéj: Wallia ma 60, Szkocya 134, Irlandya 134, wyspy Kanału 17 czasopism. Ogółem w Wielkiéj Brytanii, na 31,847,000 ludności, wychodzi 1,456 czasopism, w téj liczbie 117 codziennych. Niektóre z nich polityczne drukują się w pięćdziesięciu i więcéj tysiącach egzemplarzy; kilka zaś popularnych odbija się w setkach tysięcy egzemplarzy.



Panu **W. Halkiewicz** w Skwirze. Nie dziwi nas to bynajmniéj że pan nie odebrałeś Nr. 60 „Wieńca" a wcale nie otrzymujesz „Encyklopedyi,"—pieniędzy bowiem przesłanych dla nas przez pośrednictwo Redakcyi „Kolców" *wcale nie odebraliśmy*. Niewiadome nam są pobudki téj *abstynencyi* „Kolców"—domyślamy się jednak że pragnie panu oszczędzić widoku Klisz zagranicznych, któremi nasze pismo ma być przeładowane—ciesząc oczy pańskie widokiem prawdziwie oryginalnych *Klisz* (!), jakiemi „Kolce" przysługują się sztuce krajowéj. Na przyszłość jeżeli pan zechce prawidłowo odbierać, tak „Wieniec" jak i „Encyklopedyę"—raczy pan wprost *na nasze ręce* składać opłatę prenumeracyjną

Panu **Albertowi G.** w Noworadomsku i panu **S.** w Janowie Zamojskim. Za Encyklopedyę opłacono rs. 1 kop. 25, t. j. za tom I, (poszytów 6).

Treść: O proszonym Chlebie, powieść Waleryi Marrené (Morzkowskiéj) (c. d.) — Korespondencya z Krakowskiego. — Bibliografia.— Literatura Zagraniczna.— Cypryana Godebskiego pomysł pomnika dla ś. p. Stanisława Moniuszki. — Ze świata naukowego i społecznego. Niemcy współczesne (c. d.) — Góra płonąca w okolicach miasta Saarbrück. — Rozmaitości. — Odpowiedzi. — Ogłoszenie. — **Ryciny**: Cypryana Godebskiego pomysł pomnika dla ś. p. Stanisława Moniuszki. — Góra płonąca.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 4 (16) Сентября 1872 г. **Redaktor**, Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm

w Drukarni S. Orgelbranda Synów. w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.